

Rozdział drugi

W chwilach jasności, Amun wiedział, kim jest, co zrobił i jakim potworem teraz się stał. Chciał umrzeć, całkowicie, szczęśliwie, ale nikt nie chciał okazać mu litości i zakończyć jego mękę. Nie ważne jak bardzo się starał, a starał się. Nie był w stanie sam siebie skrzywdzić tak mocno, by jego ciało umarło.

Tak, więc walczył, by wyrzeć z własnej głowy mroczne obrazy i zniszczyć straszne impulsy bombardujące go głowę. Niemożliwe do wykonania, wiedział, że przegra. Było ich zbyt wiele, były zbyt silne i kawałek po kawałku paliły jego nieśmiertelną duszę, niszcząc jego ostatnie przebłyski własnej woli. Nie żeby miał nad nimi jakąś kontrolę.

Walczył każdą cząstką samego siebie. Aż do samego końca. Gdyby udało mu się wygrać...przegonić obrazy...demony...

Przeszyły go dreszcze. Wiedział, co może się stać, mógł poczuć jak umiera jego wola i mózg. Mógł poczuć słodki smak zniszczenia w swoich ustach.

Słodki... tak...

W każdej kolejnej chwili, tracił cząstkę siebie. Tak wiele obrazów wirowało w jego głowie, potop różnych wspomnień, nie wiedział, które należą do niego, a które do demonów, albo ich ofiar. Porwania. Morderstwa. Przepelniał go zachwyty dla każdej z tych czynności.

Ból. Trauma. Śmierć. Paralizujący strach niszczył go całkowicie.

Jedyną, co wiedział, to, że ogień otaczał go z każdej strony, paląc jego skórę, pokrywając bąblami jego gardło. Tysiąc drobnych pluskiew krążyło w jego żyłach, uczując na nim. Zapach gnicia wypełniał jego nos, i wżerał się w każdą jego komórkę. Te....

Martwe ciała gromadziły się dookoła niego, na nim, uderzając w niego, paląc go... nagle zrozumiał. Wpadł w pułapkę. Dusił się.

Pomocy! Krzyczał wewnątrz własnej głowy. *Niech ktoś mi pomoże!* Ale nikt nigdy go nie usłyszał. Godziny mijały, może dni. Jego siła słabła, aż w końcu osłabł zupełnie. Był spragniony. Och bogowie, jakże był spragniony. Potrzebował czegoś, cokolwiek, by zmyć ogień z własnych ust.

Proszę! Pomocy!

Nadal nikt nie przychodził. To była jego kara. Miał tutaj umrzeć. Zanim powróci do życia, i będzie cierpiał jeszcze mocniej. Desperacja na nowo rozpałała jego walkę, ale to tylko pogorszyło sytuację. Zbyt wiele ciał, dusiło go, wciągając w bezkresne morze smrodu, zgnilizny i beznadziei. Nie było żadnej drogi ucieczki. Naprawdę miał tutaj umrzeć.

Ale wtedy otoczenie się zmieniło, ponownie. Patrzył z góry na dół, na stos ciał, na których stał kołysząc się i szczerząc zęby z zadowolenia.

To ciało również miało wkrótce umrzeć. Pomyślał, przyglądając się duszy kobiety, którą trzymał w swoich ramionach. Dusze w piekle były tak rzeczywiste jak ludzkie ciała na ziemi. Przez siedemdziesiąt dwa lata trzymał ją skrepowaną grubymi łańcuchami. Była zupełnie bezbronna, a on ciął ją kawałek po kawałku, dręcząc ją. Śmiał się, kiedy błagała go litość, na moment zwiódł ją obiecując łaskę, lecz był tylko wybieg, odwołanie wyroku i skazanie jej na jeszcze większe cierpienie. Zmusił ją, by oczekiwała na śmierć, patrząc, co robił jej rodzinie.

Tak wiele zabawy...

Łzy kobiety nigdy nie robiły na nim wrażenia, zamierzał cieszyć się jej cierpieniem, przynajmniej przez kolejne siedemdziesiąt lat. Niestety ona umarła, zbyt wcześnie.

Oh, dobrze.

Był Męką, a tysiące innych dusz oczekiwało na jego uwagę. Dlaczego miałby oplakiwać stratę tej jednej?

Pozbył się jej ciała, odrzucając je na bok. Wylądowała wokół innych skrepcających się w mękach śmiertelników. Czekał, nasłuchując. Jeden z jego ulubieńców był głodny, puścił go patrząc jak skrada się do ciała, uczując na nim. Z radością patrzył jak jej kości trzaskały, a pożerające się stworzenie syczało, kiedy ktoś próbował mu wyrwać smakowity kąsek.

Jaki piękny obrazek stworzył. Łuskowaty diabełek i niegrzeczny człowiek, który krzyczał w niebogłose nim pozwolił jej umrzeć. Nim z nią skończył. Och cóż, ponownie pomyślał. Jej dusza już wkrótce uschnie, materializując się gdzieś w niekończących się głębinach i jeśli będzie miał szczęście uda mu się ją znowu odnaleźć, tylko po to by dalej ją torturować.

Wciągnął głęboko powietrze, w końcu odwrócił się i odszedł.

W następnej chwili, Amun był na zewnątrz piekła, oślepiiony porywem wiatru, furią i smutkiem. Nie był już Męką, ale człowiekiem. Dziewczynką. Kuciała w kącie, miała nie więcej niż dwanaście lat, szorstki materiał, który pokrywał jej ciało miał w sobie coś z dawnej przeszłości. Łzy płynęły po jej policzkach, strach ścisnął jej pierś. Była brudna, blada, słoma stanowiła jej jedyne źródło pociechy.

- Czyżbyś już zapomniała, jak cię ocaliłem? – Twardy męski głos zapytał. Grek. Antyczny Grek.

Jego obute stopy zaszeleściły, kiedy stanął przed nią. Jego twarz była pokryta bliznami po ospie, okrągły brzuch wystawał spod szaty. Na imię miał Marcus, ale ona mówiła na niego “Zły Człowiek”. Tak, on uratował ją, ale bił ją także. Kiedy mu schlebiała, dostawała jedzenie, dbał o nią. Kiedy tego nie robiła, zapominał o niej, zamykając ją pod kluczem i strasząc, że sprzeda ją, jako niewolnicę.

Nie chciała należeć do nikogo.

Wyrwał ją z jej chatki, gdzie mieszkała. W jakiś sposób wiedział o terrorze, który wypełniał każdy jej sen, budząc ją z koszmaru. Obiecał jej pomoc.

Z jakiś powodów, zniechęciła go od pierwszego spojrzenia, tak jak nienawidziła wszystko dookoła siebie, swojej chaty, świata, jednak desperacko wierzyła mu. Teraz po raz pierwszy zapagnęła uciec.

- Już zapomniałaś, jak cię ocaliłem? Jak zło chciało twojej śmierci, jak straszyciło cię, że powróci, by znowu cię nękać? Nie każ mi pytać raz jeszcze.

- Ni..e. Nie zapomniałam, - odpowiedziała w tym samym języku, słowa drżały w jej gardle. Serce galopowało szaleńczo.

- To dobrze. Wolałbym, byś nie zapomniała, jak to zło cię zakaziło. Ani czym to zło było.

Nie rozumiała tej części o zainfekowaniu, ale reszta nadal wirowała w jej głowie. – On był Lordem.

- A kto zabił twoją rodzinę?

- Lordowie. – Jej głos brzmiał już o wiele silniej, a błysk okaleczonych ciał przesunął się w jej umyśle.

Wspomnienia szybko się zmieniły. „Zły Człowiek” zniknął z wizji. Była w innym miejscu, kilka tygodni wcześniej.

- Obiecano, cię komuś, - morderca odezwał się, jego głos był dziwnie nienaturalny, przysunął się bliżej do niej, stykając prawie ze sobą ich ciała. To on był złem, coś w jego głosie wywoływało lód wkradający się do jej duszy. Nagle wszystko się zmieniło. Mężczyzna nie miał już twarzy. A jego stopy nie dotykały ziemi. Był wysoki i szczupły, czarna szata zawijała go od stóp do głowy, chroniąc go w każdym calu, i kołysząc się wokół niego. – Powinni byli dotrzymać obietnicy.

- Kim jesteś? – Zapytała, przerażona i zdrtwiała. Po raz pierwszy przytrafiło jej się coś podobnego, nie rozumiała tego i nie potrafiła sobie z tym poradzić.

- To kim jestem nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, kim ty jesteś. – Powiedział wyciągając po nią rękę, planując najwyraźniej ją pojmać. Walczyła z nim, dopóki miała siłę. Kiedy nie mógł jej obezwładnić, ciał ją nożem, raniąc delikatne organy życiowe.

Ból, który natychmiast ją wypełnił, był nie do zniesienia. A mimo to, pomimo tego bólu, coś dziwnego przeciekało do niej. Zimno, które nie wynikało, ze zdrtwienia i zbliżającej się śmierci. To zimno rosło wewnątrz niej.

A potem lód skrzystalizował się na jej skórze, wsysając się w jej pory, lecząc ją. To, co widziała nie mogło być prawdziwe. Nie mogło być realne, prawda?

Stworzenie przekroczyło próg jej chaty, ciągnąc ją za sobą. Sięgnęła do góry, drapiąc jego twarz, ale i tak nie udało jej się go zobaczyć. Jęknął w agonii, takiej samej jak ona chwilę wcześniej.

Przez kilka długich sekund żadne z nich nie mogło się poruszyć. Być może zostali razem zamknięci w kostce lodu? Chwilę później puścił ją, zatoczyła się do tyłu, krwawiąc. Nadal była oszołomiona i przerażona, tym, co się stało, a może, co się nie stało?

-Jak zamierzasz mi zapłacić za Lordów, nasza droga Hadiee? – „Zły Człowiek” zapytał, na powrót stając się sobą. Wizja zniknęła. Nie cierpiała go równie mocno, jak nie cierpiała tamtego zła.

Odpowiedź kotłowała się wewnątrz ich głowy. Tego jednego nie mogła zapomnieć, było to jej częścią, tak samo jak jej ręce i nogi. Być może, ponieważ otaczała się niewidzialną tarczą, niczym zbroją. Tarcza zapewniała jej bezpieczeństwo, przed nimi wszystkimi. - To mordercy. Wszyscy zasługują na śmierć.

Cisza, a potem miękkie palce lekko zmierzwiły jej włosy. – Dobra dziewczynka. Jeszcze ciebie wytrenuję.

Kilka sekund później obrazy w głowie Amuna zmieniły się. Zrozumiał, że nie był już dłużej w jej umyśle, drażąc jej wspomnienia, teraz widział ją o wiele starszą. Leżała niewinnie zwinięta w kłębek, na łóżku, skąpana w świetle.

Było coś znajomego w jej imieniu, nawet, jeśli wiedział, że się nie zmieniała. Hadiee kiedyś, Haidee teraz. Było coś znajomego w jej otoczeniu, ale jego umysł odmówił udzielenia mu odpowiedzi.

Miała postrzępione włosy, sięgające do ramion, połyskujące smugami różowych pasemek. Jej twarz była uosobieniem kobiecości, wbrew srebrnemu kolczykowi, przecinającemu jej brew. Być może właśnie, dlatego, że jej idealne jasne brwi wyginały się w misterny łuk.

Rzęsy ciemne niczym skrzydła kruka, lekko falowały, zakrywając idealnie wyrzeźbione kości policzkowe. Walczyła, by się obudzić, jakby wyczuwała, że ją obserwuje i jednocześnie nie wyrażała zgody, by robił to dalej.

Jej delikatny nos prowadził do warg, przypominających mu kwitnące róże. Jej skóra wydawała się być wiecznie zarumieniona, jak gdyby przez cały czas przebywała na słońcu. Nie, to nie to, pomyślał natychmiast. To nie był tylko pocałunek słońca, to coś rozświetlało ją od wewnątrz, tysiące drobnych diamentów przebijało się przez jej skórę. Nie tak jak u Harpii, których skóra jaśniała wszelkimi kolorami tęczy. Ta kobieta, Haidee, ona nie błyszczała. To piękno było wewnątrz niej.

Mógł patrzeć na nią w nieskończoność. Była jego pierwszym przebłyskiem raju, po tym, co wydawało się być koszmarem. Ale oczywiście nawet to zostanie mu odebrane.

Walczyl z obrazami, na nowo wypełniającymi jego umysł. Złote płomienie owijały się wokół niego, dym dusił go, gęste powietrze zapowiadało obecność jego demona.

Miasto przed nim płonęło, chaty płonęły jak pochodnie, drzewa padały, nic nie ocalało. Matki krzyczały na swoje dzieci, ojcowie leżeli twarzą do dołu, w kałużach krwi, ostrza wystawały z ich pleców. Wszyscy oni mieli na sobie ten sam rodzaj odzieży, co mała Hadiee- teraz Haidee, przypomniał sobie. Ciemne, wytarte, lniane, szorstkie łachmany, teraz splamione krwią.

Nie był jedynym, który oglądał te zniszczenia. Jedenastu wojowników dookoła niego, ich oczy błyszczały jasną czerwinią, a skóra połyskiwała łuskami. Takimi samymi, jak u kreatur czających się

dookoła. Kreatury miały wielkie rogi, niczym ostrza wystające z czasek. Kły wystawały z ich ust, sącząc truciznę, która natychmiast zabarwiała mięso na pomarańczowo.

Posoka pokrywała ich torsy i gardła, z nozdrzy wydobywał się ostry dym. Ich dłonie zaciskały się dookoła mieczy, a ich umysły najeżdżały jego umysł. Więcej, płomieni, więcej krzyków, więcej śmierci. Dopiero, kiedy cały świat byłby zlany krwią i kośćmi tych śmiertelników, byliby zadowoleni. Spełnieni.

Za wyjątkiem...

Amun nie chciał zabijać. Chciał wrócić do tej małej dziewczynki. Chciał trzymać ją w swoich ramionach i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze i że ochroni ją przed „Złym Człowiekiem”. Chciał wrócić do tej kobiety. Chciał zawinąć się wokół niej i usłyszeć jak mówi, że wszystko będzie w porządku, i że tylko ona może go ochronić przed demonami.

I zrobi to. Wróci do niej.

Amun walczył, by jej dosięgnąć. Nie dbał, że skóra pękała, a kości się łamały. Nie, on radośnie powitał ból. Polubił go nawet. Być może za bardzo. Nie przejął się, kiedy płomienie pognały do niego, setki języków wypełnionych kwasem, atakowało go. Powitał ten ból, ponieważ z tym nowym doznaniem, pluskwy z jego ciała wreszcie zniknęły. Uciekały po nim, sunąc po łóżku, spadając w dół.

Łóżko. Tak, był na łóżku, pomyślał mgliście.

Nagle mógł poczuć prześcieradło leżące pod nim, każde nacięcie na skórze, każdy rozerwany mięsień, bolał go bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej. Gorzej, coś uciskało na jego nadgarstki i kostki, uniemożliwiając wypłynięcie pluskiew na zewnątrz.

Bandyci, chociaż komórka, którą posiadał, krzyczała, by walczył, zmusił się, by przestać szarpać. Odetchnął ciężko, rozumiejąc, że powietrze tutaj, było gęste i brudne. Poczł zapach gnicia i czegoś jeszcze, coś przypominające ziemię. Wibrujące pulsowanie życia. Tuż obok płomieni mógł poczuć najśłodszy pocałunek chłodnego lodu, kojącego jego oparzenia, dającego mu siłę. Kto był za to odpowiedzialny?

Próbował otworzyć oczy, ale jego powieki, były szczelnie zamknięte. Zmarszczył brwi. Dlaczego jego powieki były zaklejone? I jeszcze ta stal... łańcuchy, pomyślał, kiedy mgielka oszołomienia zaczęła znikać. Związano go, trzymano jak więźnia. Dlaczego?

Przerazająca chwila jasności.

Syczał ogarnięty zgrozą, setki koszmarnych myśli i wspomnień kształtowało się w jego głowie. Chociaż nie chciał, pamiętał. Był Amunem, dozorcą demona Sekretów. Kochał i stracił. Zabijał, ale także chronił. Nie był zwierzęciem, brutalnym zabójcą, już nigdy więcej. Był mężczyzną. Nieśmiertelnym wojownikiem, który chronił to, co należało do niego.

Poszedł do piekła, doskonale znając konsekwencje, ale też ignorując je. Ponieważ nie mógł patrzeć jak jego przyjaciel Aeron cierpi, doprowadzając się do szaleństwa, wiedząc, że jego przybrana córka została uwięziona w piekle, i torturowana. Dlatego Amun poszedł, a setki demonów i innych dusz utknęły złapane w pułapkę wewnątrz niego, szukając teraz desperacko, drogi ucieczki.

Teraz był w domu, i chciał umrzeć. Musiał umrzeć. Był zagrożeniem dla swoich przyjaciół, dla świata. Powinien umrzeć.

Nie będzie żadnego pocieszenia. Haidee. Nie otrzyma od niej pociechy, od kobiety, którą się stała, ponieważ nie mógł sobie pozwolić, by opuścić ten pokój, jego sanktuarium. Jego trumnę. Będąc tego świadomym, płakał jeszcze głośniej. Czy kiedyś, dawno temu spotkał jej duszę w piekle, ukradł jej wspomnienia? A może natknął się na nią lata temu, jej głos zagubił się w ciemnym, ciernistym błocie jego umysłu. Nie wiedział.

To był koniec.

Płomienie.

Krzyki.

Zło.

Po raz kolejny demony, krzyki i zło walczyło o przejęcie nad nim kontroli. Dusząc go.

Amun wiedział, że nie będzie w stanie powstrzymać ich na długo. Żądali, tak mocno żądali by się podporządkował... skupił się na ziemskich perfumach i chłodnym wietrzyku. Głowa automatycznie odwróciła się w lewo, śledząc ten niewyobrażalny zapach unoszący się w powietrzu. Prowadzący od jego sypialni... to pokoju obok?

Moc.

Spokój.

Zbawienie.

Być może mógłby wyjść z tego pokoju, pomyślał nagle. Być może mógł poczuć się bezpiecznie. Jeden mały łyk zbawienia, taki nagi smak, oszroniona morela, sok tak słodki i ratujący jego gardło.

Musiał tylko... *płomienie, krzyki, zło...* wydostać się stąd. Musiał walczyć. Płomienie. Pośród jęków i grzmotów wewnątrz jego umysłu, szarpnął się próbując zerwać więzy. Krzyk. Ciało już rozpadało się na kawałki, kości rozsypywały się w pył. Zło. Nie mógł się uwolnić. Mógł się tylko szarpać, zrozumiał. Nic więcej mu nie pozostało.

Płomienie. Krzyki. Zło.

Kiedy tylko z powrotem upadł na materac, roześmiał się bezgłośnie. Nawet to stracił. W końcu był zgubiony. Nie mógł nawet wezwać swoich przyjaciół. Jedno pojedyncze słowo, jeden dźwięk i wszystko wewnątrz niego wydostanie się na zewnątrz, jego opór przeciwko złu wewnątrz niego, nie zdałby się już na nic.

PłomienieKrzykiZło...

Bliżej...bliżej...teraz...

Odurzający zapach nadziei, po raz kolejny zawładnął jego ciałem. Jeżeli on nie może opuścić tej sypialni, by dostać się do sąsiedniej, być może on...ona...oni mogliby przyjść do niego.

Zło ponownie pochwyciło go w swe szpony, Amun mógł już tylko krzyczeć bezgłośnie i wołać.
Chodź do mnie!